№ 21 WARSZAWA, DNIA 25 MAJA 1912 ROKU ROK II



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

ś. p. ALEKSANDER GŁOWACKI

(BOLESŁAW PRUS).



Bolesne straty poniosła literatura nasza w ciągu dwu lat ostatnich: coraz to bowiem przerzedzają się szeregi znakomitych pisarzy, którzy, po roku 1863 rozpocząwszy swą działalność, do ostatniej chwili nie upuszczali pióra z ręki, schodząc z tego świata w pełni rozwoju swych świetnych talentów i doniosłej działalności dla dobra narodu.

Tak w r. 1910 straciliśmy dwie wielkie pisarki: Elizę Orzeszkową i Marję Konopnicką. A dziś oto przynosimy naszym czytelnikom żałobną wieść o zgonie jednego z najwybitniejszych twórców polskich z tego pokolenia, a zarazem jednego z najszlachetniejszych Polaków, Aleksandra Głowackiego, który wsławił się pod pseudonimem Bolesława Prusa.

Śmierć ta, która nastąpiła niespodzianie, wyrwawszy nam wielkiego twórcę z pośrodka prac pozaczynanych (ostatniej powieści, p. t. „Przemiany“, nie zdążył Prus ukończyć) głębokie sprawiło wrażenie na wszystkich dobrze myślących Polakach. Był bowiem, przy wszystkich swoich zasługach pisarskich, człowiekiem, jakich, niestety! coraz mniej między nami.

Był Prus przedewszystkiem człowiekiem wielkiego serca. Kochał wszystkich i wszystko: Boga i przyrodę, ludzi i nieme stworzenia. A najżywiej biło jego szlachetne serce dla istot słabych i bezbronnych, krzywdzonych przez los i ludzi. Litował się nad niedolą ludu, jego ciemnotą i ubóstwem (widzimy to w znakomitej powieści p. t. „Placówka“, doskonałym

obrazie wsi polskiej i chłopa polskiego, walczącego zawzięcie przeciw kolonistom Niemcom, którzy chcą zagarnąć jego ojcowiznę); rozumiał też wybornie i malował w licznych utworach duszę dziecka.

Młodzież nasza pamiętać powinna, że Prusowi zawdzięczamy długi poczet niepospolitych postaci dziecięcych: począwszy od pakującego do buzi duży palec u własnej nogi trzyletniego Stasia młynarczyka („Przygoda Stasia“), a skończywszy na dorastających pensjonarkach w „Emancypatkach“ i wstępujących w szeregi rewolucji podczas pamiętnych dni 1905 – 1906 roku zapalnych młodzieńcach w „Dzieciach“. 13-letnia panienka z dworu Magda, w „Anielce“ 12-letni wisus, podpalający niechcący stodołę, do której strzelał z klucza i prochu, w „Grzechach dzieciństwa“, rówieśnik jego, nie mniejszy urwis, ale o złotem sercu, w „Omyłce“, zdolny do wszelakiego majsterstwa, ale marnujący się wobec braku możności należytego kształcenia się chłopiec wiejski w „Antku“, dobra, łagodna i wątła Helcia Starska w „Lalce“, brudna ślepa dziewczynka w „Katarynce“ kilka wyrostków wiejskich i parobczaków w „Michałku“, pastuszek wiejski, uczony przez panny z dworu w niedokończonych „Przemianach“ i wiele, wiele jeszcze innych podobnych postaci nakreślonych z wielkiem umiłowaniem i znajomością duszy dziecinnej.

A zwierzęta? Kto raz czytał „Przygodę Stasia“, nigdy nie zapomni o tym świetnie oddanym czworonożnym bohaterze psie, Kurcie, któremu śpiące maleństwo oddano pod opiekę. Tak rozumiał i kochał Prus najlichsze nawet stworzenie!

Ale serce jego otwarte było i dla wielkich umiłowań. Przedewszystkiem zaś ukochał on gorąco kraj rodzinny i jemu całe swoje życie poświęcił. Powieści jego zwłaszcza „Omyłka“, „Placówka“, „Lalka“ i „Emancypatki“, to najlepszy i najwierniejszy obraz życia i obyczajów narodu całego: od możnych panów do bezdomnych najmitów i nieszczęsnych nędzarzy. Zwłaszcza z chlubą może powiedzieć o sobie Warszawa, że znalazła w powieściach Prusa świetne odzwierciedlenie („Lalka“, i „Emancypatki“).

Nie dość na tem. Prus tak ukochał dobro kraju, że nigdy nie tracił go z oczu. Rozumiał swój zawód literacki, jako służbę narodową. Wszystkie jego utwory nie dla marnej chwały pisane, ale dla pożytku społecznego.

Tu wspomnieć należy, że Prus przez lat 40 z górą pisywał artykuły o sprawach społecznych, zatytułowane najczęściej „Kroniki tygodniowe” i w nich wskazywał społeczeństwu właściwą drogę postępowania. A że przy szlachetnem sercu, miał rozum światły i jasny, umiejący zawsze rozpoznać złe od dobrego, i charakter prawy i nieposzlakowany, brzydzący się wszystkiem, co nizkie i nikczemne, były więc owe „Kroniki” przez długie lata pewnego rodzaju głosem sumienia narodowego, a ich autor wielkim i szlachetnym nauczycielem i przewodnikiem narodu.

Ale nie tylko w „Kronikach" bo i w powieściach pozostawił Prus wiele pięknych i wzniosłych nauk dla społeczeństwa, z których długo jeszcze czerpać będziemy pobudkę do dobrych czynów i otuchę w ciężkich okolicznościach życia.

Dobrze spełniał Prus swój obowiązek narodowy i to poczucie, że spłaca sowicie dług, zaciągnięty względem ojczyzny, dawało mu szczęście, spokój i pogodę ducha. Prus, który nie umiał nienawidzieć, nie umiał też i smucić się. A choć ciężkie ciosy w oczach jego spadały na naród nasz, nie rozpaczał, bo wierzył w sprawiedliwość Bożą i zwycięstwo dobrej sprawy.

To też utwory jego, jak żadne inne, pełne są pogody i nieprzymuszonej wesołości. Słusznie też mówią o Prusie, że, jako humorysta, zajmuje wśród pisarzów polskich po r. 1863 stanowisko jedno z najprzedniejszych. A dodać należy, że on nie szydzi ze swych bohaterów; do szyderstwa jasna dusza jego nie była zdolna, ale patrzy na nich z dobrotliwym uśmiechem i z miłością zarazem; widzi ich błędy i śmieszności, ale ich kocha jednocześnie. Powieści Prusa i nowele, jako arcydzieła humoru, na długo pozostaną w pamięci narodu.

Odszedł nas ten mistrz ukochany, tak związany serdecznie z życiem naszem, że nic polskiego nie było mu obcem, ten, na którego przywykliśmy patrzeć zawsze, jak na wodza duchowego, co wiódł nas, gdzie prawość i cnota, a nigdy nie zbłądził, wyższy nad wszelką małość ludzką, nad marne zabiegi korzyści codziennych i czczej chwały, ten sternik wytrwały a umiejętny, co tak długo stał przy rudlu, pewną ręką prowadząc okręt narodowy wśród burz i nawałnic!

Strata to niepowetowana!

Przed tą trumną wielkiego człowieka i wielkiego pisarza niechaj uchyli głowy młodzież polska, którą zmarły otaczał zawsze troską gorącą, wiedząc, że młodzież — to przyszłość narodu!

H. G.

HERKULES.

Ciąg dalszy.

5. Hydra lernejska.

Eurysteus wstydził się swego przestrachu i swej ucieczki, i bał się Herkulesa. To też, gdy Herkules zgłosił się na drugi dzień po nowe rozkazy, nie wyszedł do niego, lecz polecił mu przez jednego ze swych krewniaków, aby zabił hydrę lernejską.

Hydra ta była, podobnie jak lew, potomkiem Tyfona i przebywała w moczarze lernejskim w pobliżu miasta Argos.

Był to smok—potwór o dziewięciu łbach, a jeden z tych łbów był nieśmiertelny.

Teraz nikt już nie wątpił, że Herkules idzie na pewną zgubę. On jeden tylko był dobrej myśli i ruszył w bagna lernejskie jak na gody.

Kryjówki hydry nie potrzebował długo szukać. Wszyscy sąsiedni mieszkańcy bagien wiedzieli, gdzie bestja przebywa i miejsce jej pobytu opisali Herkulesowi tak dokładnie, że według otrzymanych wskazówek trafił odrazu.

Jaskinia, w której gnieździła się hydra, była ciemna, ciasna i cała wypełniona olbrzymiem cielskiem zwierzęcia. O wejściu do niej ani marzyć nie można było. Chyba gdyby kto chciał odrazu i bez najmniejszego ratunku zginąć.

Herkules nie miał zamiaru ginąć bez walki, stanął więc na brzegu jaskini z silnem postanowiem wypłoszenia hydry z kryjówki.

Napiął łuk i z szybkością nieopisaną począł wypuszczać strzałę po strzale do środka.

Jak uprzykrzone muchy wpadały strzały do jaskini. Ukłucia ich były wprawdzie dla hydry tem, czem dla nas ukłucia szpilką, ale ponieważ następowały szybko jedne po drugich, zniecierpliwiły

wreszcie hydrę, która zdecydowała się opuścić kryjówkę.

Na to tylko czekał Herkules.

Z właściwą sobie siłą ciął mieczem i jeden z olbrzymich łbów hydry potoczył się na ziemię. Ale, o dziwo! zaledwo jeden łeb odpadł, już na to miejsce wyrosły trzy nowe. A równocześnie poczuł Herkules, że rani mu coś niemiłosiernie stopę.

mego Hermesa, ruszył Herkules ponownie do ataku.

Co odciął głowę mieczem, przykładał do rany płonący dębczak i wypalał to miejsce tak, że nowe głowy odrastać już nie mogły.

Gdy ostatni łeb nieśmiertelny padł na ziemię, przywalił go olbrzymią skałą tak, że nie mógł się połączyć z tułowiem.



.... W jednej ręce z płonącym dębczakiem, w drugiej z mieczem, ukutym przez samego Hermesa, ruszył Herkules ponownie do ataku.

Spojrzał na dół i zobaczył, że ucięty łeb hydry przemienił się w straszliwego raka, który potężnemi szczypcami kaleczy go w nogę.

Podnieść nogę i rozgnieść raka było dziełem jednej chwili. Wyrwać z ziemi stojący w pobliżu uschnięty dębczak i zapalić go było dziełem drugiej sekundy.

W jednej ręce z płonącym dębczakiem, w drugiej z mieczem, ukutym przez sa-

Odpocząwszy chwilę, rozciął ciało wstrętnej hydry, w krwi jej pomazał strzały i odtąd strzały te zadawały rany nieuleczalne.

Cichy, jak każdy prawdziwy bohater, po odniesionem zwycięztwie, nie sobie, lecz bogom przypisując śmierć hydry, złożył opiekunowi swemu, Zeusowi, ofiarę i ruszył po nowe rozkazy.

6. Kerynejska łania.

Każde nowe zwycięztwo Herkulesa rozpaczą napełniało Eurysteusa.

Gdy doniesiono mu o pokonaniu hydry, zamknął się w swym zamku i przez trzy dni nie przyjmował żadnego pokarmu, ani widzieć się z nikim nie chciał i pocichutku zaczął nawet urągać Herze, że go wmięszała w całą tę historję.

— Wielki jest Zeus, który się chłystkiem tym opiekuje i ten, który pokonał lwa nemejskiego i hydrę lernejską, z pewnością nie prędko ulegnie!

Zrozpaczony, już miał wydać rozkaz, aby Herkules szedł sobie w świat, gdzie chce, byle tylko nigdy o nim nie słyszał, gdy stanęła przed nim Hera.

Eurysteus, chociaż zły, nie chciał sobie narażać potężnej bogini.

Hera skinęła mu przyjaźnie głową.

— Prędko tracisz fantazję, Eurysteuszu! Nie wiedziałam o tem, i gdybym była przeczuła bodaj, że tak szybko oddasz się przygnębieniu, byłabym kogo innego wezwała do pomocy!

— Nie gniewaj się, bogini! Widzisz mnie w rozpaczy i nic dziwnego. Herkules z najniebezpieczniejszych wypraw wrócił cało i tam, gdzie miał pozbyć się życia, znalazł zysk nie mały, bo zdobył ubranie, którego się miecze nie imają i strzały śmiercionośne za najlżejszem zadraśnięciem!

— Powinieneś był być przygotowanym na to. Mówiłam ci przecież, że śmiertelnym tym opiekuje się Zeus.

— Mówiłaś, dostojna!

— Nie trać więc czasu i sił na próżne lamenty i nie poddawaj się rozpaczy. Wytęż raczej cały spryt i walczmy dalej. Uważ, że mnie masz za sprzymierzeńca! A teraz słuchaj! Na górze Kerynejskiej w Arkadji ma Artemis ulubioną łanię o rogach złotych, o kruszcowych nógach. Każ Herkulesowi, niechaj ci łanię tę przyniesie żywą!

— O bogini dobrotliwa! Cóż to znaczy dla Herkulesa, który tyle dokonał? Pochwycić łanię? Toż to zabawka!

— Nie taka znów łatwa, jak ci się zdaje, łania bowiem jest bardzo zwinną i nie łatwo ją złapać, a wreszcie, jeżeli i złapie ją Herkules, obrazi tem Artemis, boginię łowów, z którą niebezpiecznie zaczynać.

Nowe życie wstąpiło w Eurysteusa i zaraz wydał rozkaz Herkulesowi, który ruszył do Arkadji.

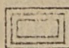
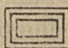
(D. c. n.)

Uparta woda i wesołe kółko.

Weźmy zwyczajną szklankę i umieśćmy ją w puszce tekturowej, do brzegów której przywiążmy sznurki; nalejmy wody do szklanki i nadajmy szklance taki ruch, jaki wykonywamy przy rzucaniu kamienia z procy. Ku ogólnemn zdumieniu woda nie wyleje się ze szklanki, nawet w chwili, gdy będzie odwrócona do góry dnem.

Zjawisko to daje się wytłomaczyć jedynie siłą odśrodkową, dzięki której woda ze szklanki nie może się wylać, tak samo jak się nie może przewrócić cyrkowiec, pochylony na koniu do środka areny.

Bardzo ładnem doświadczeniem w tem kierunku może być kółko do serwety. Bierze się na wskazujący palec prawej ręki i nadaje mu się ruch wirowy. Kółko będzie się podnosiło i opuszczało dokoła palca, oczywiście, o ile ruchy tegoostatniego będą odpowiednio zręczne.



Gustaw le Rouge.



NIEWIDZIALNI.



Ciąg dalszy

Prawda, iż jak nowy Prometeusz, zdobyłem ogień i obdarzyłem ich tym darem bezcennym, będącym potężną bronią przeciw ich prześladowcom: znając jednak ich ociężałość i niedbalstwo, przeczuwałem, że poprzestaną na pozorach obrony, a to wkrótce zakończy się zwycięstwem ich wrogów.

Nawiedzały mię wówczas okropne obrazy okrucieństw, spełnianych na tych dobrych ludziach, słyszałem jęki, widziałem ciała ich szarpane straszliwemi szponami—i serce mi się krajało na myśl o losie, jaki czekał moich przyjaciół!

Zrozumiałem wtedy postępowanie tych potworów ze mną: oto trzymano mię tu dla uczynienia Marsjan bezbronnymi, oddanymi na ich łaskę i niełaskę!

Wreszcie nadeszła chwila przełomowa: na myśl o nieszczęściach, na jakie wystawieni są moi przyjaciele, uczułem gniew szalony, który wyrwał mię z przygnębienia i martwoty, w jakich byłem dotąd pogrążonym.

— Jak to?—rzekłem — dokonawszy takich rzeczy, jakich dokonałem, mam zostać potulną ofiarą tych wstrętnych, okrutnych straszydeł? Nie! póki żyję do tego nie dopuszczę — przysięgam! Może mi się nie uda wyrwać stąd — ale spróbować muszę!

I zacząłem natychmiast zgromadzać materjały na spadochron. Miałem wielką trudność z wyszukaniem giętkich prętów dla zbudowania szkieletu, który następnie miałem pokryć swojem ubraniem: lecz przypomniałem sobie, iż w jaskini widziałem dużo starych, opuszczonych gniazd Erloorów. Były one zbudowane z mocnych, giętkich ljan i nadawały się wybornie do mojej roboty.

Przez kilka dni poprzednich, przecinałem, siedząc sam u okna, włókna moich więzów, za pomocą ostrych muszli, tak, że choć trzymały się jeszcze, mogły być w każdej chwili zerwane. Za nadejściem nocy, gdy obrzydłe stworzenia wyleciały ze swej pieczary na łowy—wziąłem się do roboty. Jak mi się zdawało, powinienem był ukończyć swoją pracę przed ich powrotem.

Mój stróż również odleciał z nimi, będąc zapewne przekonanym, iż dostatecznie się już przyzwyczaiłem do mego więzienia.

Była to okoliczność szczęśliwa, z której należało korzystać.

Wielką przeszkodą był mi brak potrzebnych narzędzi, oraz ból skaleczonej przez Erloora ręki, która dotąd nie mogła się zagoić. Jednak pomimo to wszystko, pracując po ciemku, zdołałem wykończyć mocny szkielet sporego parasola, bez rączki, z otworem pośrodku. Na krótki czas przed świtaniem skończyłem swoją pracę, a niezadługo gromady Erloorów zaczęły się zla-

tywać, napełniając jaskinię szumem skrzydeł i wstętną wonią swoich ciał spoconych.

Neleżało teraz czekać dnia: siedziałem więc spokojnie w swojej framudze, zakrywając sobą mój przyrząd, drżąc z niecierpliwości. Upłynęło w ten sposób około pół godziny: wracały jeszcze pojedyncze Erloory, podlatując ciężko, uchodząc przed zbliżającym się dniem.

Nakoniec przez czas dłuższy nie przybył żaden więcej, a miarowe chrapanie, rozlegające się ze wszystkich stron, dowodziło, iż potwory popadły już w sen głęboki.

Była to pora, kiedy ciemność blednie, ustępując powoli: byłem tak zdenerwowany spędzoną bezsennie nocą, oraz bliskiem, jak mi się zdawało, wyswobodzeniem, iż nie czekając wschodu słońca, wbiegłem w korytarz, ciągnąc za sobą swój przyrząd. Doszedłszy do okna, ujrzałem przy ziemi bladą linję świetlną: z rzeki szła rzeźwa, wilgotna woń—dzień się zbliżał.

Z rozkoszą oddychałem czystem, chłodnem powietrzem!

Postanowiłem nie czekać dłużej: obejrzałem starannie mój spadochron, przywiązałem go do ramion i skoczyłem. Uczułem się w próżni...

Przebyłem zaledwie trzecią część drogi, gdy ciemna jakaś masa przysłoniła mi oczy: uczułem się pochwyconym w locie i uniesionym do góry, jak gołąb porwany przez jastrzębia.

Nieszczęście chciało, że dostrzegł mię ostatni z powracających Erloorów!

Jakże gorzko wyrzucałem sobie swoją niecierpliwość!.. Schwycony w pół ciała, owinięty błoniastem skrzydłem, przyciśnięty do wstrętnego stworzenia, zaledwie mogłem oddychać.

Było to nieopisanie straszne: czułem po gorączkowem trzepotaniu się mego prześladowcy, po jego przyśpieszonym i chrapliwym oddechu, że ciężar mój był nad jego siły prawie. Przez chwilę byłem pewnym, iż mię puści i spadnę do rzeki; już nawet przez pewien czas zniżył swój ciężki lot — lecz nagle gorączkowo wzbił się do góry i ostatnim wysiłkiem złożył mię wpół martwego na oknie, z którego tak niedawno wyskoczyłem... Wtedy, chcąc mi widocznie odjąć sposób i nadzieję nowej ucieczki, zaczął szarpać na strzępy mój biedny spadochron, który z takim trudem i mozołem zbudowałem.

Później silnem szarpnięciem porwał mię z okna i wlókł za sobą, wydając, zapewne na znak radości, przenikliwe gwizdanie.

Odprowadził mię na to samo miejsce, gdzie się już tyle czasu przemęczyłem i wydał krzyk ostry, gwałtowny, który natychmiast rozbudził mnóstwo Erloorów.

Znów ujrzałem miljony oczu, płonących dokoła, a groźny pomruk dawał się zewsząd słyszeć. Lecz teraz nie ciekawość wiodła ku mnie te potwory: w ich chrapliwych głosach czułem złość i groźbę.

Popychały mię, drapały, uderzały całem ciałem: jak Indjanin, przywiązany do «słupa męki», czekałem tylko, rychło mię rozszarpią na kawałki!

W tej chwili doznałem jakby chwilowego omdlenia, czy jasnowidzenia. W chwili, gdy najzacieklejszy z moich wrogów rzucił się na mnie z wyciągniętemi szponami, uczułem, że tracę zmysły... Jakiś obłok zasłonił mi wszystko, co mię otaczało. Ujrzałem się w rodzaju pagody indyjskiej i widziałem przez chwilę miss Albertę, ciebie Ralfie i trzecią twarz, nieznaną mi zupełnie.

— Do licha! — wykrzyknął Ralf — to musiało być bezwątpienia tego dnia, kiedy na żądanie biednego kapitana, pewien jog, imieniem Fara-Szib wywołał twój obraz!... Istota twoja wtedy tak się uduchowiła, iż na tę chwilę przybyłeś do nas: byłem tam i widziałem cię oraz Erloora, który się na ciebie rzucał równie wyraźnie, jak i teraz.

(D. c. n.)

(Tłom. z fran. *K. W.*).



REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Lecz Pawełek te słowa jego uznał za ubliżające dla profesora Nickiego, zaperzył się więc zaraz, zaczerwienił, zacisnął pięści i byłby poskoczył ku niemu do bójki, gdyby przy stołach nie wszczął się gwar i weselnicy nie powstali od nich.

Rozległy się uroczyste, poważne dźwięki muzyki, które wnet potem przeszły w skoczne bardzo, gdy wszyscy zbliżyli się do stodoły.

Dziękujemy i za stoły i za ławy,
I za przepyszne potrawy,
Za wszystko wam dziękujemy,
Teraz do tańca pójdziemy,
Dalej panie wesoły!...

Rozbrzmiewał śpiew rozradowanych weselników, że już długa i nudna uczta skończyła się... Barwną gromadą śpiesznie skierowali się w stronę stodoły, a śpiewy ich rozlegały się hen, dokoła.

Hej! zagraj mi skrzypeczku,
Oj! niech ci struny wiuczą,
Oj! niechajże się druchny,
Da tańcować nauczą.

A basy huczały już raźnie i wesoło, a skrzypce wtórowały im, dodając ochoty i tancerkom i tancerzom.

Zawirowało też zaraz na klepisku par kilkanaście, a ci, dla których zbrakło tam miejsca, wywijali, aż miło, na murawie przed stodołą.

Dla starszych i poważniejszych gości wyniesiono przed chatę ławy i stoły; siedzieli tam sobie, popijając miód i piwo i gwarząc o różnych rzeczach.

Od strony taneczników coraz dobiegała raźna piosenka w rodzaju:

Oj! hasała starościna,
Oj! i hasała,
Podkóweczką w podkóweczkę
Ognia dawała.

lub też:

Gdyśmy się tu zeszli,
Nie trza nóg żałować,
Na to jest wesele,
Żeby potańcować.

A prześpiewki te przeplatały głośne hołupce i raźne wykrzykniki parobczaków: hu-ha!

Pawełek przyglądał się ciekawie temu wszystkiemu, lecz nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy ujrzał kroczącego z powagą wójta, prowadzącego do tańca wyciągniętą z trudem z za ławy panią Marcinową.

Spostrzegła ten śmiech jego pani Mar-

cinowa i gniewnie pogroziła mu ręką... Stłumił go Pawełek i tylko ciekawie patrzył, jak koło taneczników rozstąpiło się, a wójt powiódł w tan gościa z Warszawy.

Pomimo wieku obydwoje tańczyli jeszcze raźnie, to też, gdy skończyli, na cześć ich rozległy się gromkie okrzyki.

Zabawa stawała się coraz bardziej ożywioną.

Przyjmował w niej żywy udział i Tomasz, tańczący zawzięcie i Pawełek, wywijający wraz z innymi dzieciakami na murawie podwórza.

Profesor Nicki rozmawiał o różnych sprawach z proboszczem, nauczycielem i starszymi z gospodarzy, coraz jednak niecierpliwie spoglądał na zegarek, dziwiąc się, że nie widać p. Chajęckiego z powiatu.

Zmierzchło się już zupełnie, gdy zmęczeni muzykanci urwali i gwar ścichł na chwilę.

Rozległy się głosy:

— Oczepiny!... oczepiny!

Panna młoda, otoczona gronem starszych kobiet, skierowała się do chaty, a za niemi podążyli wszyscy biesiadnicy.

Rozległ się jednocześnie śpiew:

Mój wianeczku lawendowy,
Nie spadaj mi z mojej głowy,
Bom cię moją rączką wiła,
Pókim jeszcze panną była,
Już cię więcej wić nie będę,
Bo już dzisiaj za mąż idę.
Mój wianeczku z białej róży,
Nie jeden mi dla cię służy,
Służą tobie gospodarze,
Małe dziatki i kucharze,
Służą panny, młodzianowie,
Póki wieniec jest na głowie.
O mój wianku zieloniuchny,
Służą tobie swacia, druchny,
Mój wianeczku, mój zielony,
Kwiateczkami opleciony,
Talarami obsypany,
Od matuli, od kochanej.
O mój wianku z drobnej ruty,
Nie dodaj mi wielkiej smuty,
Mój wianeczku lawendowy,
Nie spadaj mi z mojej głowy,
Bo jak ci mi wianek spadnie,
Zaraz moje liczko zbladnie.
Oj! spadł, oj! spadł, pokruszył się,
Jaś go podjął, pocieszył mię.

Szły tak ze śpiewaniem i gwarem, a gdy zbliżyły się do chaty, wyrwała się im panna młoda i skryła się do alkierza...

Jednocześnie rozbrzmiał śpiew:

Uciekłabyś moja Maryś,
Nie masz którędy,
Obstąpiła drużyneczka,
Dokoła wszędy.
Stoi w izbie, stoi w sieni,
Stoi w komorze,
Trzeba czepek wziąć na główkę,
Nic nie pomoże.
Otwórzcie nam komóreczkę,
Druchny, otwórzcie,
Wypuśćcie nam panią młodą.
Hejże! wypuśćcie.
Wypuśćcie młodą panieneczkę,
Taką jak była,
Żeby nam się panieneczka
Zarumieniła.

Wtargnęły swachy do alkierza i wyprowadziły z niego spłonioną pannę młodą. Prowadząc ją do dzieży, na której zasiąść miała, śpiewały:

Siądźże Maryś na dzieży,
Niech ci wianek nie cięży
Na dzieży, na chlebowej,
Zdejmij wianeczek z głowy.
Marysiu, weź wianek w dłonie,
Oddaj mateńce w pokłonie,
Mateńka wianka nie bierze
Bo od żałości nie może.

D. c. n.

Nieco o sztuce pływania.





Ciąg dalszy.

Przy kąpaniu wystrzegać się należy dołów niespodzianych, traw, w które łatwo się zaplątać, wreszcie grzązkich błot.

Są to niebezpieczeństwa, groźne przedewszystkiem dla nowicjuszów. Jednakże najważniejszym niebezpieczeństwem, które grozi wszystkim kąpiącym się w rzekach, są gwałtowne prądy i wiry, które rok rocznie sprowadzają tyle nieszczęśliwych wypadków. Kąpiący się na wybrzeżach morskich powinni koniecznie mieć się na baczności przed silnemi przypływami, strzedz się piasków ruchomych, niespodzianych uderzeń fal i t. p.

Przed dwoma laty na plaży, w pobliżu Neapolu, kąpało się dziesięć dziewcząt. Niespodziana fala zmiotła je wszystkie i dwie tylko z nich zdołano uratować.

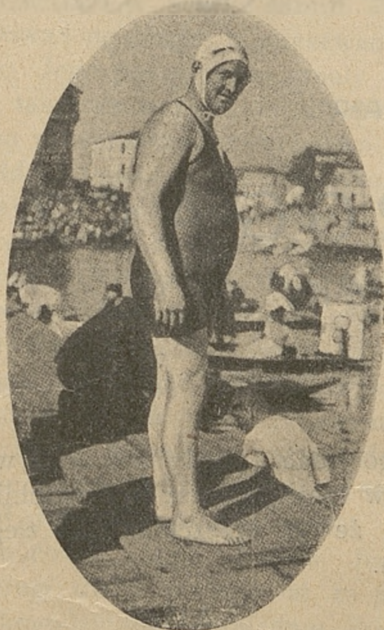
Każdy z nas może się nauczyć pływać, jednakże nie każdy zdoła zostać champion'em, zapaśnikiem mogącym się mierzyć z pływakami o światowym rozgłosie; należy mieć do tego doskonałe płuca, mięśnie sprężyste i wytrzymałe, a przytem należy prowadzić tryb życia według surowego regulaminu, oraz odbywać systematyczne ćwiczenia.

Przed kilku jeszcze laty wielkie konkursy pływackie były rzeczą rzadką.

Dopiero niedawno poczęto organizować

coroczne zapasy międzynarodowe, w których przyjmują udział najwybitniejsi pływacy. Zapasy takie są urządzane i u nas na Wiśle, jednakże w niewielkich rozmiarach.

We Francji począwszy od 1906 roku odbywają się corocznie pod Paryżem wielkie wyścigi pływackie. Jeden z najbardziej interesujących odbył się w 1907



roku. Brali w nim udział, między innymi, dwaj mistrzowie sztuki pływackiej, Jarvis i Ooms. Olbrzymi tłum, liczący około pół miljona osób zaległ wybrzeże i mosty na Sekwanie w pobliżu Paryża. Zapaśnicy mieli wyruszyć z małego statku ustawionego w poprzek rzeki. Wystrzał armatni był sygnałem, na który 26 pływaków rzuciło się jednocześnie w fale rzeki. Rozpoczęła się uporczywa i gwałtowna walka o zdobycie pierwszeństwa. Anglik Jarvis, na samem początku zapasów wysunął się na czoło pływackiej drużyny. Za nim podążał Maas, belgijczyk, trzecim z kolei był Ooms. Po przebyciu dwóch i pół kilom. Maas pozostał w tyle, Ooms natomiast zaczął doganiać Jarvis'a; w pewnej chwili zdawało się, że go dogoni, jednakże anglik w decydującej chwili począł płynąć szybciej i zostawił rywala daleko za sobą. Wreszcie tłum widzów zgromadzonych na mecie ujrzał Jarvis'a, prującego fale rzeczne swymi atletycznemi ramionami i zwycięzca, witany ogłuszającemi okrzykami, wylądował na przystani. Pomimo przebycia wpław 10 kilometrów z wytężoną szybkością, Jarvis nie okazał najmniejszego zmęczenia.

W ostatnim roku na wyścigach pływackich w Paryżu zwyciężył również anglik, Billington, przebywając całą przestrzeń w dwie godz. 4 min. Przebycie wpław 10-ciu kilometrów w ciągu dwóch godzin, jest rzeczą godną uwagi, gdyż dowodzi wielkiej sprawności fizycznej pływaka.

Lecz jakiegoż to zahartowania wymagają zapasy pływackie, odbywające się w zimie! Od stu lat prawie anglicy organizują coroczne konkursy, które odbywają się 25 grudnia w jednym ze strumieni przepływających przez Hyde Park w Londynie. Francuzi zorganizowali podobne zimowe konkursy, urządzane w Grudniu pod Paryżem. Nie wierzono z początku w ich powodzenie, gdyż nie przypuszczano, że znajdą się między francuzami zapaśnicy dość zahartowani, aby znieść mroźną temperaturę wody. Tymczasem konkursy te powiodły się doskonale; przytem w 1906 roku nagrodę zdobył francuz Gérard Meister i był również zwycięzcą w 1908 i 1910 roku. Należy zauważyć, że w 1906 i 1907 r. temperatura wody w Sekwanie w czasie konkursu zbliżała się do zera. W przeszłym roku belgijska pływaczka, pani Clair Guttenstein, skarżyła się na zbyt wysoką temperaturę wody, chociaż wzburzone fale Sekwany nie miały nawet 5° C.

Od wielu już lat wszyscy champion'i pływactwa marzyli o przepłynięciu cieśniny Pas-de-Calais. Najznakomitsi pływacy zawodowcy wielokrotnie podejmo-

wali próby w tym kierunku, jednakże od czasu kapitana Webbs'a, który w 1875 roku przepłynął całą cieśninę w 21 godz. 45 min., aż do ostatniego roku, wszystkie wysiłki nie osiągnęły pożądanego rezultatu. Nieudane te próby wykazały jednak dużą odwagę i zahartowanie pływaków.

D. n.



Ernest Seton Thompson.

DZIELNY ROGACZ

(BARAN GÓRSKI).

Ciąg dalszy.

Dzielny Rogacz uniósł swą promienieją̨cą głowę, z nozdrzy jego rozległo się przeciągłe sapnięcie, a oczy błyszczące rozglądały się badawczo wokoło. Po chwili zwrócił się w lekkich podskokach w stronę kryjówki owiec, które tak sprytnie obronił.

Młody Lee obserwował całą scenę z ukrycia odległego na 50 m. Oczy jego pałały podziwem i zachwytem.

Rogacz znajdował się o 50 m. od niego oddalony: przedstawiał cel, jakiego nawet w najśmielszych snach nie mógł wymarzyć sobie Scotty. Ale Lee był świadkiem takiego czynu, o jakim wyobrażenia nie miał, a jaki pobudzał w nim krew do faluj̨ącego ruchu. Nie pożądał on teraz życia tego bohaterskiego stworzenia, ale z błyszczącemi oczami siedział wzruszony i szeptał:

— Waleczny bojowniku, nie pytam teraz, co zrobiłeś z memi psami, wiem, że walczyłeś uczciwie w obronie swojej i swego stada. Nigdy nie będę walczyć przeciw tobie, możesz być zupełnie spokojny, że cię przezemnie nic złego nie spotka.

XV.

Był niegdyś pewien podły człowiek, który, nie mogąc się niczem odznaczyć, chciał wsławić swe imię zburzeniem najpiękniejszych budowli na ziemi. Podobnie jest z zapalonymi myśliwymi. Im szlachetniejsze i piękniejsze jest zwierzę, tem większa przyjemność i przyczyna sławy.

Na wielkiego Rogacza zwrócił uwagę niejeden myśliwy i przez następne lata był on nietylko prześladowany ale i sławny, tak że sława jego sięgała aż do miast. Handlarze osobliwości przeznaczali olbrzymie sumy za głowę, która nosiła te potężne rogi, stawiali bajeczną cenę za życie, które je stworzyło.

Scotty, wiecznie będąc w nędzy, pod-

niecony był jeszcze bardziej możliwością zdobycia tak wielkiej sumy pieniędzy, wymyślał coraz to nowe sposoby walki przeciw baranowi. Znowu przez kilka dni obszukiwał góry, wziąwszy do pomocy innego myśliwego, ale obydwaj, pomimo starań i wysiłków, barana nie ujrzeli, tak że towarzysz znudzony wrócił do siebie, by w inny bardziej pewny sposób zdobyć pieniądze, a Scotty zabrał się do przygotowań na długie, nieprzerwane polowanie. Jego ponure oczy miały w sobie coś tak stanowczego, że można było napewno przypuszczać zwycięstwo. Fuzja, kołdra, fajka, zapałki, tabaka, garnek, kawałek pieczonego mięsa i kilka funtów czekolady — stanowiły cały jego rynsztunek. Następnego dnia udał się z tem wszystkiem na miejsce, gdzie pozostawił ślady Rogacza. Szedł za niemi po śniegu, odszukując skrzętnie z pomiędzy śladów innych owiec. Czasem napotykał ślady legowiska owiec, ale pomimo że wciąż śledził lornetką, nigdzie nie mógł dojrzeć samych zwierząt.

Przenocował obok śladów barana, a na drugi dzień postępował za niemi i po kilkogodzinnem chodzeniu doszedł do miejsca, gdzie napewno Rogacz musiał się zatrzymać, musiał więc zauważyć myśliwego i poznać, że jest prześladowany. Stąd szły ślady daleko, aż do obszernego pastwiska.

Scotty był niezmordowany. Całemi dniami szedł za śladami, a w nocy wchodził w jaką dziurę jak dzikie zwierzę, z tą różnicą, że jako człowiek cywilizowany palił fajkę. Czasami zdarzało się, że widział owce podążające ku południowi, aż wreszcie zapędził je na południowy koniec wzgórz nad rzeką Yak prosto przy północnym brzegu jeziora Białorybiego.

Dalej na południe leżała łąka Półksiężycowa, nierówna ze strony wschodniej, a od północy groził niestrudzony wróg, Scotty. Owce znalazły się w położeniu rozpaczliwem.

Dzielny Rogacz probował zejść na niższe wzgórza wschodniego stoku, ale wtem usłyszał wystrzał i coś kłującego trafiło go w róg, a jednocześnie wyrwało trochę włosów z ramienia.

Oszołomiło to trochę Rogacza i wydał dźwięk, który przetłomaczony na język ludzki, oznaczałby:

— Ratuj się, kto może!

Stado rozproszyło się na wszystkie strony, niektóre owce uciekały nawet na otwartej przestrzeni. Ale Scotty na owce nie zwracał uwagi, jego myśl skupiała się jedynie około Rogacza. Co obchodziły go inne? Więc gdy Rogacz zwrócił się we wschodnim kierunku, Scotty, sapiąc i przeklinając, poszedł jego śladami.

Rzeka płaskobrzeżna znajdowała się niedaleko. Baran skrzyżował lód i cały dzień kręcił się w tej okolicy, o ile możności na nierównym gruncie i posuwając się z wiatrem w stronę północno-wschodnią.

Piątego dnia Rogacz i jego prześladowca znaleźli się około jeziora Terry. Okolicę tę znał Scotty doskonale i wiedział, że stąd ucieczka jest trudna, gdyż w stronie wschodniej znajdowało się mnóstwo zastawionych pułapek, a pozatem był zamknięty jar, o jednem tylko wejściu. Myśliwiec pozostawił więc ślady i zwrócił się na północną ścieżkę, którędy musiał przejść baran i czekał.

Nagle zadął wiatr zachodni, zwany chinook, jedyny wilgotny wiatr w Skalistych górach, sprowadzający śnieg w okolicach pagórkowatych i właśnie teraz wraz z nim zaczęły spadać płatki śniegu a w pół godziny potem miotała oślepiająca zawiejka śnieżna, tak że nie można było nic widzieć nawet z odległości kilkunastu metrów.

Burza ta nie trwała długo. po dwóch godzinach ukazało się niebo czyste i wesołe. Scotty czekał jeszcze godzinę, a że barana dojrzeć nie mógł, wstał by znaleźć jego ślady. Znalazł je niedaleko, przykryte warstwą świeżego śniegu, Rogacz przeszedł niepostrzeżony i dzięki burzy śnieżnej, umknął przed swym prześladowcą.

O chinook! ojcze wietrze! Ty, który przynosisz widoki wiosenne i burze zimowe, ty, który pozwalasz rosnąć trawie i pokrywać nią bujnie pagórkowate wyżyny, który wilgocią swą żywisz tę trawę, a zatem i te wszystkie zwierzęta, które trawę skubią, ty, który stworzyłeś tę całą wyżynę górską i wszystko co na niej oddycha, czyż ty jesteś tylko podmuchem powietrza, czy też jak nas Grecy i Indjanie uczą, czemś wyższem, bogiem myślącym, który najpierw stwarza, a potem stworzenie swe ochrania i pielęgnuje?

Dlaczego właśnie pojawiłeś się dnia tego i zakryłeś śnieżną zasłoną oczy krwiożerczego człowieka? Czyż nie stało to się w tym celu, aby nie skrzywdził twego wspaniałego tworu?

A czy to nie twoje dzieło było wówczas, w tym dawnym odległym dniu, gdy Rogacz ujrzał światło dzienne i za swą matką uciekał od czyhającego nań myśliwego?

(D. c. n.)

Tłom. *M. Arct-Golczewska.*

KRONICZKA.

△ Starożytny Damaszek w Azji Mniejszej, spłonął prawie doszczętnie. Straty wynoszą 50,000,000 franków.

△ Znany lotnik Védrines, który przebył Pireneje, w locie swym do Madrytu spadł w pobliżu Epinay sur Seine i poranił się bardzo ciężko.

△ We Lwowie odbył się uroczysty obchód na cześć Kołłątaja.

△ W Berlinie otwarto pierwszą polską wystawę przeciwalkoholiczną.

△ Zmarł nagle w Warszawie poeta i literat, ś. p. Wacław Rolicz-Lieder.

△ Od dnia 29-go Czerwca do dnia 22-go Lipca odbywać się będą w Sztokholmie międzynarodowe igrzyska olimpijskie.

△ Znaczną nagrodę za bohaterskie ratowanie bliźnich, ufundował miljarder Carnegie we Włoszech.

△ W parlamencie pruskim wystąpiono z nowemi prawami przeciwko polakom.

△ Bunt w Marokko przeciwko Francuzom rośnie.

△ W Tybecie staczane są ciągłe walki między chińczykami a tybetańczykami.

△ W dniu 14-ym b. m. zmarł jeden z najwybitniejszych autorów szwedzkich, August Strindberg.

△ Duma państwowa uchwaliła ostatecznie wydzielenie Chełmszczyzny z granic Królestwa Polskiego.

△ Burzliwe demonstracje wyprawiła młodzież we Lwowie i Krakowie z powodu uchwalenia przez Dumę projektu Chełmskiego.

△ Włosi zajęli wyspy Karpados i Kasos na morzu Egiejskiem.

△ Dolinę Mississipi nawiedziła klęska powodzi. Zginęło kilka tysięcy ludzi.

△ Zmarł w Hamburgu na ulicy, dnia 14 Maja, król duński, Fryderyk VIII. Ur. w r. 1843, objął rządy po śmierci ojca, Chrystjana IX w r. 1906. Cieszył się ogólną miłością wszystkich poddanych swoich

△ W Berlinie zakończył życie ś. p. Antoni Donimirski, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich, redaktor gazety „Słowo”, ceniony za nieskazitelność przekonań swoich i zasad.

Drobiazgi.

Dewotce służebnica w czemciś przewiniła.
Właśnie wtenczas, kiedy ta pacierze kończyła;
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: „i odpuść nam winy,
Jak my odpuszczamy“ biła bez litości.
Uchowaj Panie Boże takiej pobożności!

Ignacy Krasicki.

Są, jak się okazuje, na kuli ziemskiej nieszczęśliwcy, pozbawieni daru śmiechu. Są to meddasi na wyspie Cejlon, uważani, z powodu małego rozwoju umysłowego za jedno z najniżej stojących plemion na świecie. Kiedy podróżny spytał jednego z tych dzikich, dlaczego nigdy się nie śmieje, ten odrzekł, że ani razu w życiu nie widział nic śmiesznego.

* * *

— Pewnego dnia, Fryderyk Wielki, król pruski, ujrzawszy wchodzącego swego lekarza, rzekł do niego: — Powiedz mi doktorze szczerze, wielu zabiłeś ludzi w swem życiu?

— Najjaśniejszy panie — odrzekł lekarz: blizko trzykroć sto tysięcy mniej, jak wasza królewska Mość — i nawet z mniejszą sławą — dodał w tej chwili.

„O własnych siłach“.

Arytmograf

ułożony przez Błękitnego Rycerza.

Liczby zastąpić literami tak, ażeby środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko znanego francuskiego powieściopisarza.

19 23 15 14 6
20 17 5
5 6 2 9 6
14 7 15 23 21
3 17 14
4 19 6
6 18 6
22
2 16 21
10 6 20 11 12
5 7 1 13 4
3 16 18

Znaczenie wyrazów:

1. Ptak.
2. Trunek.
3. Wyspa na morzu Śródziemnem.
4. Miasto w Rosji.
5. Drzewo.
6. Owad.
7. Bohater powieści Kraszewskiego.
8. Spółgłoska.
9. Zwierzę drapieżne.
10. Miasto we Francji.
11. Rzeka w Hiszpanji.
12. ~~Kwiat.~~ Krzew

Łamigłówka gieograficzna

ułożona przez M. Pakszwer.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z dołu do góry, utworzą imię i nazwisko słynnego uczonego polskiego.

Sylaby: al, bja, da, do, e, do, dan, dje, e, ga, ga, ga, gon, in, ir, je, ka, ko, kor, kre, kin, kuck, le, li, lo, ła, ma, ma, ny, nu, o, on, pe, ra, re, re, ro, rio, ro, sy, skar, ta, ta, y, zo.

Znaczenie wyrazów:

1. Wyspa na morzu Śródziemnem.
2. Kraj w Azji.
3. Kraj w Afryce.
4. Rzeka w Europie.
5. Jezioro w Australji.
6. Miasto w Chinach.
7. Jezioro w Ameryce.
8. Wyspa na morzu Śródziemnem.
9. Miasto w Azji.
10. Góry w Ameryce.
11. Jezioro w Rosji.
12. Rzeka w Ameryce.
13. Rzeka w Ameryce.
14. Miasto w Azji.
15. Wyspa w Afryce.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 17-go nadesłali: Gieniek Landau, Polski Tułacz, Złota Myśl.

Rozwiązanie łamigłówki liczbowej i sylabowej z N-ru 18-go nadesłali: Złośnica, Gieniek Landau, Armida, Serce Sokole, Złota Myśl.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 19-go nadesłali: Złośnica, Biały Orlik, Armida, Serce Sokole, Zosia Nowicka, Stefcia i Reginka W., Złota Myśl.

Nowoprzybywający prenumeratorzy otrzymać mogą dawniejsze roczniki „Naszego Świata" ***za pół ceny***.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 17.

1. Hamak
2. Edisson
3. Nobel
4. Równo
5. Y
6. Kochinchina
7. Szczawnica
8. Irydjon
9. Ebro
10. Norwegja
11. Kroacja
12. Indjanie
13. Etna
14. Wołoszczyzna
15. Izabela
16. Cezar
17. Zamość

Henryk Sienkiewicz.

Rozwiązanie logogryfu sylabowego z Nr. 17.

M
G ***a*** j
S a ***t*** y r
M a t e j k o
B a ***j*** k a
O ***k*** a
o

Letnie mieszkanie

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3